Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 3. Poznań dnia 16. Kwietnia. 1838.

Literatura zagraniczna.

George Sand.

Któż on czy ona? mężczyzna czy kobieta? anioł czy zły duch jaki? stworzenie prawdziwie istniejące, czy też jaka wymarzona istota? Tak się pewnie już tysiące ludzi pytało. Niewiem! to tylko wiadomo, że mowa jest o autorze, który do najcelniejszych naszego czasu należy. Lecz zkąd się u nas zjawił? kto mu nadał tę czarodziejską moc języka? tę niewyczerpaną różnokształtność stylu? zkąd się jéj wzięło wylewać potok tych gorzkich żarcików, gniewliwych urągań, ostréj pogardy naszego świata i towarzystwa? Jako mężczyzna jest zjawieniem nadzwyczajném, jako kobieta niepojętem; tymczasem jest jednem i drugiem?! Nie dziw więc, że w takim razie sąd nasz nie jest pewny, że uczucie, którego doznajemy, mimowolnie lękliwem, zachwycenie skrycie trwożnem być musi. Mimo tego jednak odważmy się tę podwojną istotę, w któréj uczucia, pomysły i namiętności obudwóch płci stokroć się mieszają, bliżéj poznać i wybadać.

Było to po rewolucyi lipcowéj; przed gniewem chwilowym oburzonego ludu runął tron świetny; majestat królewski na pozór nietykalny, święty, jakby piorunem uderzony, w proch się rozsypał; jeszcze gromy w dali grzmiały, ledwo co zapory kamieniste usunięto; gdy na widowni boju pokazał się nieznany Paryżowi młodzian. Zkądże on przybył? Oto, zkąd znakomici twórcy i pisarze zwykle przybywają. Co zostawił w domu? To, co każdy rzucający swe domowe ognisko zwykle zostawia: wolność, pokój, szczęście. Szczęśliwy! kto choć jedno z sobą zabrać może. Cóż ma ze sobą? Młodość, miłą postać, zdolności, nadzieje, potrzebną ufność w sobie, dosyć darów nieba; kto je ma, temu otwarty świat cały. Czego chciał w Paryżu? trzeba go się było w owych dniach zapytać, a nie byłby umiał odpowiedzieć. Cóż znalazł w téj wielkiéj stolicy? oto igrzysko rozkołysanego życia, namiętności, do których serce jego dawno wzdychało, pożar powszechny, do którego się burzliwa dusza jego darła; znalazł nareszcie wyrazy i żywe farby do malowania swych uczuć: jedném słowem znalazł dla siebie istnienie wolne, wybujałe, a zatém poezyą.

W rzeczy saméj, dziecko, co własnemu ojcu posłuszeństwo wypowiedziało, żona, co więzy niecnego małżeństwa samowolnie zerwała, nieznany geniusz, który lubił wszystko wstrząsać i wywracać; nie mógł szczęśliwszéj chwili wybrać do przybycia do Paryża, jak rok 1830. Ledwo się pokazał nasz kobieco-męzki bohater, ledwo co rzucił okiem na otaczającą go wrzawę, ufny w swéj przyrodzonéj odwadze, upodobał sobie zaraz na burzliwéj widowni, czuł się szczęśliwym, czuł się w swym żywiole. Świeża rewolucya chciała i na polu literackiem nowych mieć pisarzy, nowych poetów, a odważnym współzawodnikom, którzy wtenczas w szranki wstępować nie wahali się, już tem samem przypisywano niepospolitą moc duszy i oryginalność. George Sand ocenił ten stan rzeczy rozmyślnie, po męzku i jędrnie, łącząc do trafnego sądu czułość kobiety. Odwaga jego wzrosła; a jak młody żołnierz rzuca się w potyczkę pełen nadziei, że go wieniec zwycięzki czeka, tak i Sand w otchłań walk się rzucił. — Wiecie też, jak on wygląda? dzielny młodzieniec, wzrostu nizkiego, miléj twarzy, ciemnych włosów, oko żywe, co świat wybaduje i przenika, czoło pogodne, pięknie zaokrąglone, oznaczone piętném celującéj bystrości; chęć używania życia wielka, ciekawość do nauk bez granic, nieprzyjaciel wszelkiego przymusu, swoją wolnością tyle upojony, ile młodzieniec, co z rygoru szkolnego dopiero się wydarł, przytem gorący, namiętny, dumny, przecięż poważny, głęboki; serdeczny razem i genialny, pełen zarodów świetnéj przyszłości: takim był w dniach owych Jerzy Sand. Jakże nie miał razić jego oka widok Paryża, wybuch płomieni wulkanu rewolucyjnego, pożar publicznego i towarzyskiego życia, lawa co z krateru daleko się lała?

Jakżeż nie miał zawracać mu głowy, zapalać mózgu, tentent i łoskot po ulicach, które lud w upojeniu zwycięzkiem przebiegał! Tak spędzał Jerzy Sand pierwsze dni w Paryżu. Podbijał on myślą świat ów nowy, pełen nawału i tłoku, a nie czuł, ile sam porywany wirem, tonął w powszechnym odmęcie rewolucyi. Największe miał upodobanie chodzić po świeżych rozwalinach, deptać po obalonym majestacie dni przeszłych i budować własną swą wielkość na ruinach takowych, jakby na przygotowaném dla siebie podnożu.

Była to piękna pora znaleźć niejednę koronę, nie jedno zdobyć berło, co na ziemi bez pana leżało; a Sand czuł, czuł, że przy szczęściu i zręczności, w tym nowym biegu rzeczy, znaczenie i panowanie umysłowe dostać mu się powinny. Rzucił się śmiało w potok obecności, puścił się w bystry wir nurtu, a z tego, co go hukiem i szumem otaczało, sądził o przyszłości. Węzły dotychczasowych stosunków towarzyskich, już zerwane widział; roił sobie, że dożyje może zupełnego zniesienia obyczajów dzisiejszych, i że wszystko inny i podług jego myśli weźmie kierunek. Obręb takich myśli, takich urojeń, dla drugich chaos niezrozumiałe, bezmierne, bezdenne, był ulubionèm marzeniem, w którém wybujały umysł najbardziéj smakował. W takim żywiole duch ten rosł i przybrał nadzwyczajną postać. Gdyby nie rewolucya lipcowa, Sand nie byłby się na sobie poznał; dzielny geniusz niszczenia, nie byłby się obudził, a może iskra, którą w tysiące innych umysłów wrzucił, byłaby pewnie wcale się niezatliła. Pierwszy szał takiego uniesienia, nie mógł przecież trwać długo i nasz młody bohater, gdy wszystko wysłyszał, co warto było słyszenia, gdy wszystko już widział, co warto było widzenia; powracał często do domu z ostudzoną fantazyą. Ale tém szczerzéj i gorliwiéj oddawał się myślom, do jakich przekonanie go wiodło: badał sam siebie troskliwie, czy posiada w istocie moc ogłaszania i rozkrzewiania nauk, czy zdolnym i powołanym jest wyjawiać przykre prawdy, co jego przeniknęły serce i światu je obwieszczać. Jakżeż miał wystawiać innym własne namiętne uczucia, których on sam tylko pierwszy raz wstępując na świat, a do tego w czasie wstrząśnień rewolucyjnych, na sobie był doznał? Co do lat dziecko jeszcze, zaufał jednak powołaniu i pokazał się dojrzałym.

Siadł, pisał, a pisał, dopóki nie napisał czterech tomików romansu, mającego służyć za kamień węgielny do dzieła życia, do którego zmierza z piórem w ręku, z zapałem w sercu. Czuł się młodym, dzielnym, śmiałym, szczęśliwym! Bogu tylko były wiadome myśli i zdania prawdziwe, czy fałszywe, szlachetne czy podłe, naturalne czy przesadzone. Gdy skończył, trzeba było poszukać wydawcy. Nasz przyjaciel wziął więc kapelusz i laskę, nakrył, ile mógł długie swe czarne włosy i wyszedł na ulicę. Ale jakże mógł pomyśleć o księgarzu? Błąkał się więc nad brzegiem rzeki, marzył, a nie jedna ładna dama miłem pozierała okiem na wesoło bujającego samotnika. Przypadek sprowadził go po długiem błąkaniu do księgarza; odezwał się do niego z uśmiechem: »mam tu, Panie, romans zupełnie zły, ani dwóch tygodni nad nim nie pracowałem.« Księgarz dobrze to przyjął, i na dziełko osoby nieznanéj 400 franków ryzykował. »Co,« rzekł Sand »400 franków za cztery tomiki przezemnie spisane! o, to handel wyborny!« Rzekł, wsunął pieniądze nieszczęśliwego nakładcy do kieszeni, i rzucił je potém w kąt swego pokoju, po trochu jednak wydobywał, jednego luidora po drugim w świat puszczając.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Próba miłości.

Powieść moralna dla małżonków.

Wyjątek z romansu Bulwera pod nazwiskiem »Uczony« (the student).

(Dokończenie.)

Tymczasem, dziwne zdarzenie! Adolfa wada, t. j. patrzenie zyzem, codziennie wyraźniéj i jawniéj występowała. »On z pewnością nie patrzał zyzem przed ślubem,« myślała Celestyna, »to tak nieprzyjemnie! to tak niemiło, gdy kto na nas spójrzy bystro, a patrzy na dwie strony, a Adolf ma ten nieszczęśliwy zwyczaj, że patrzy bystro. Zdaje mi się, żem mu to winna powiedzieć, naturalnie w delikatny, uprzéjmy sposób, ten nałóg da się zapewne wyleczyć.«

Ponieważ kobiety zawsze są pierwsze w wyszukiwaniu wad swych mężów, więc też Celestyna postanowiła zwrócić na nię uwagę swego Adolfa, przy pierwszéj okazyi, któraby się wydarzyła.

»Oto, Celusiu, przyprowadziłem ci pieska,« rzekł Adolf jednego rana. — »Precz z nim, precz! proszę cię, wypędź go, patrz tylko, jak mi wala posadzkę. Nie cierpię psów, Adolfie!« — »Biedna kruszyno,« rzecze Adolf, pochlebiając swemu znieważonemu faworytowi. — »Do mnie to mówisz, czy do psa?« zapyta się Celestyna. — »Ajużci do psa, wszak widzisz i słyszysz?« — »Przepraszam! mój mężu, my-

ślałam, żeś na mnie patrzał. Istotnie, mój Adolfie, jeżeli ci mam powiedzieć prawdę, od niedawnego czasu masz ten zwyczaj, że zupełnie zyzem patrzysz na jedno oko.« — »Doprawdy?« rzecze Adolf, niezmiernie obrażony i biegnie do lustra. — »Nie gniewaj się, moje życie. Nie byłabym o tém wspomniała, gdyby od dnia do dnia niebyło gorzéj; ta wada da się jeszcze uleczyć z pewnością, przylep opłatek na koniec nosa, a wnet będziesz prosto patrzał.« — »Opłatek na koniec mego nosa! raczéj go sobie połóż nad swojem okiem, Celusiu!« — »Nad mojem okiem?« zawoła Celestyna i biegnie także do lustra. »Jak to Pan rozumiesz?« — »Oto, że tam masz brzydkie znamię, któreby lepiéj było pokryć.« — »Mój Panie!« — »Moja Pani!« — »Znamię nad okiem! okrutniku!« — »Ja mam patrzeć zyzem! nierozsądna!« — «Tak jest, dobrze mówisz! jak mogłam kochać męża patrzącego zyzem!« — »Albo ja kobietę z znamieniem nad okiem!« — »Mój Panie, nie zniżę się, abym zważała na jego grubijaństwo. Nic dziwnego, Pan źle widzisz! lituję się nad jego ułomnością« — »Moja Pani, gardzę jéj przycinkami; ale że Pani nie wierzysz świadectwu własnego swego lustra, pozwol mi posłać po doktora; a jeżeli ten będzie w stanie uleczyć jéj oszpecenie, tém lepiéj dla niéj.» — »Tak, poślij po doktora; on zobaczy, czy patrzysz zyzem, czy nie, biedny Adolfku. Ja się nie gniewam, nie, tylko się lituję nad tak smutnym defektem.« Celestyna zalała się łzami. Adolf w zapale porwał kapelusz, wsiadł na konia i sam po Doktora pojechał.

Doktor był zarazem i filozofem i lekarzem; wsiadł na swą szkapinę i wolno z Adolfem jechał. Po drodze wybadał z niego całą historyą; albowiem ludzie zalterowani łatwo się wygadają. »Ta niewierna kobieta,« rzecze Adolf, »wierzyłbyś to Pan? Na wszystkoś my się odważyli z miłości ku sobie, nigdy dwoje ludzi tak się nie kochało, nawet samobójstwo chcieliśmy raczéj popełnić, jak żyć bez siebie. Wyrzekłem się najświetniejszych partyi z jéj przyczyny, nadto szczęśliwy, żeby chociaż i bez posagu, była moją, a teraz twierdzi, że patrzę zyzem. A ona takie ma znamię nad okiem!«

Doktor nie mógł się przekonać, czy Adolf istotnie patrzy zyzem, ponieważ kapelusz był wcisnął na oczy. Prócz tego uważał za rzecz roztropniejszą, tym czasem zająć się jedną chorobą. »Co do znamienia, mój Panie,« rzecze Doktor »to nie trudne do uleczenia.« — »Lecz jeżeli moja żona nie przyzna, że je ma, to i nie przyzna także, że zostanie uleczoną. Mniejszaby była o to, gdyby się tylko przyznała. O próżności kobieca!« — »Musiało to bydź po niejakiem oddaleniu, że Pan ten mały defekt spostrzegłeś.« — »Po niejakiem oddaleniu? myśmy nie byli ani dnia rozłączeni po naszym ślubie.« — »Aha!« rzekł Doktor, i zatopił się w myślach. Wspomniałem wyżéj, że był filozofem, ale nie trzeba dużo filozofii, aby wiedzieć, że osoby, które chciały przed kilku miesiącami umrzeć jedna za drugą, mogły się poróżnić dla znamienia i patrzenia zyzem.

Stanęli we wsi Adolfa, wchodzą do salonu. Celestyna już nie płakała. Miała kapelusz na głowie, który jéj własnie był do twarzy, z miną urażonéj, ale już nie wyrzekającéj kobiety.

«Przyznaj się do znamienia, Celestyno, a wszystko ci przebaczę,« rzekł Adolf. — »Dla czego tak bydź upartym, czy nie patrzysz zyzem? wyznaj, ja cię niemniéj ubóstwiać będę, jeżeli nie będziesz tak próżnym, i nie zaprzesz się swéj wady.» »Dosyć tego, moja Pani. Panie doktorze, racz przypatrzyć się téj damie. Nie jestże to szkaradne znamię? czy przynajmniéj jest do uleczenia?« — »Nie, nie,« rzekła Celestyna szlochając, »patrz Pan raczéj na zyz mego biednego męża. Jego oczy tak były piękne, nimem za niego poszła.«

Doktor wsadził na nos okulary i przypatrywał się jednemu po drugim. »Mój Panie,« rzekł nakoniec z uwagą i namysłem, »ta Pani ma w istocie chrosteczkę nad samém okiem dużo mniejszą od główki szpilki. A źrzenica prawego oka jéj męża, moja Pani, jak się to pomiędzy dziesięciu, u dziewięciu zdarza, o setną cząstkę jednego cala bliższa jest nosa jak u drugiego. Tak mnie się rzeczy wydają, który Państwo oboje po pierwszy raz widzę. Ale się nie dziwię, że się Panu mała chrosteczka tak zdaje niezmierną, a Pani oczy tak przekręcone, gdy się oboje codziennie widujecie!«

Nowożeńcy byli o tém skrycie u siebie przekonani, gdy goniec zdyszony wbiegł z doniesieniem, że ojciec Adolfa śmiertelnie zachorował. Po trzech miesiącach Adolf powrócił. Celestyny znamię zupełnie zginęło; męża oczy tak były piękne jak zawsze.

Nauczeni doświadczeniem, przekonali się, że znamiona nad okiem szybko rosną i zyzem łatwo patrzeć można, gdy ciągle na się patrzymy; i że łatwą jest rzeczą dla dwóch osób z radością umrzeć w chwilach namiętnéj miłości, ale niezmiernie trudno, żyć z sobą zgodnie i szczęśliwie w małżeństwie, nieopuszczając się nigdy na chwilę. W. Ł.

Literatura krajowa.

Do Bociana.

Pędź niewdzięczny! lotem strzały,
Tam gdzie miłe są upały,
Tam gdzie wiecznie kwitnie maj;
Mnie niech zimno krew tu zetnie,
Nie polecę w strony letnie,
Bo mnie milszy ojców kraj!

Jażbym rzucał lasy, zdroje,
I rodzinne gniazdo moje,
Że je wkrótce śnieg ma skryć!
Niech tam rozkosz będzie raju,
Ja nie rzucę mego kraju,
Tu chcę umrzeć, lub tu żyć.

Pędź niewdzięczny! lotem gromu,
Zdala gniazda, zdala domu,
Nim powrócisz, umrzéj wprzód!
W piekle dręczy boleść wściekła,
A jabym nie rzucił piekła,
Gdybym z piekła wiódł mój ród.

Słyszysz, słyszysz, jak cię goni
Głos puszcz, gajów i ustroni,
Jeziór, rzek, ustępów, błot:
»Czekaj synu, w złéj nas doli
»Nie zostawiaj, bo to boli,
»Czekaj, wstrzymaj bystry lot!«

Ty nie słyszysz! — więc niewdzięczny
Jako promień pędź miesięczny,
Gdy się z czarnych wyrwie chmur;
Kiedy możesz, żyj szczęśliwie
Z obcymi, na obcéj niwie,
Twarde serce twe jak mur!

Bo kto musi w obce kraje
Lecieć, serce mu się kraje,
Łez wylewa gorzkich zdrój;
Ty się cieszysz, ty nie płaczesz,
Klaszczesz dziobem i kołaczesz,
Jakbyś w kraj powracał swój.

Pędź niewdzięczny! Pospiech mały
Błyskawicy, gromu, strzały,
Ty pędź szybciéj, nocy, dnie.
Daléj! daléj! gdzie daleka
Z szczęściem na cię ziemia czeka,
Ja ci niezazdroszczę, nie! *K. Z.*

Potyczka Zaremby z Branickim pod Widawą.

(Drugi wyciąg z rękopismu wzmiankowego w poprzednim numerze.)

Interregnum ogłoszone zapaliło na nowo króla przeciw konfederatom. Ze zaś Puławskiego po fortecach rozłożonego wyparować nie można było, obrócono się więc prosto całą siłą na Zarembę.

Dano tedy pod kommendę Xawerego Branickiego, hetmana W. koronnego, półk lekki Byszewskiego, półk ułanów królewskich i regiment gwardyi litewskiéj konnéj. Do których generał rossyjski Wejmar, najwyższy kommendant, dał pod ordynans Branickiego Drewicza półkownika z jego dywizyami. Całéj téj wyprawy na Zarembę było do ośmiu tysięcy, który w partyi swojéj nie liczył więcéj nad trzy tysiące, przyciągnąwszy do siebie wszystkie konfederacye. Wiedział Zaremba od przyjaciół z Warszawy, że się na niego wojsko zbiera, i że Branicki wychodząc na tę wyprawę, oświadczył publicznie na pokojach przed wielu przytomnymi panami, albo żywego albo zabitego Zarembę przyprowadzić do Warszawy najdaléj za dwie niedzieli.

Zaremba z korpusem swoim stanął około Widawy, miasteczka ośm mil pocztarskich od Piotrkowa odległego, sam z sztabem stanąwszy w saméj Widawie.

Branicki miał rozkaz, wprzód dobrym sposobem próbować Zarembę, ażeby broń złożył, a gdyby się nie dał nakłonić po przyjacielsku, dopiero zbrojną siłą uderzywszy na niego ze wszystkich stron, albo przymusić do poddania się, albo w pień wszystkich wyciąć. Rozporządziwszy tedy Branicki środki do tego, porozsyłał ordynanse do Rossyan, aby na naznaczony dzień każdy punktualnie o jednéj godzinie na miejscu sobie wskazanem stanął. Co za pięć dni nastąpić miało; sam zaś z półkami królewskiemi i rzeczypospolitéj pospieszył ku Zarembie, aby go w miejscu zatrzymał, nim Rossyanie nadciągną.

Gdy się zbliżył ku Widawie, Zaremba wyszedł naprzeciw niemu w pole; lecz Branicki wyprawił do niego trębacza, żądając, aby wstrzymawszy nieprzyjacielskie kroki, wprzód się zjechał z nim rozmówić. Zaremba na to pozwolił. Wyjechali tedy obydwaj przeciw sobie w równych konwojach. Wojska zaś ich w oddaleniu stały. Za pierwszém przywitaniem oświadczył Branicki Zarembie, iż król estymując tak godnego kawalera, nie radby go zgubić; owszem chciałby go zachować do usług swoich i ojczyzny. Zatém proponował mu, żeby się dał nakłonić na życzliwą perswazyą. Aże moment jeden mały jest do przerobienia rzeczy przeciwnych w przyjacielskie; przeto żądał, ażeby Zaremba pozwolił na zawieszenie broni pięciodniowe, przez który czas, jeżeli Zaremba nie przekona się na umyśle dowodami, które mu pokazać obiecywał, że konfederacya już stoi nad przepaścią; tedy po wyjściu tych dni wolno będzie Zarembie stanąć przy swoim uporze z szablą w ręku.

Zaremba, nie wahając się bynajmniéj z myślami, przyjął propozycyą Branickiego: czyli dufając szczęściu swemu, czyli puszczając na hazard błędną konfederacyą. Obwołano natychmiast zawieszenie broni w obu wojskach. Przykazano pod gardłem, dla uniknienia wszelkiéj zaczepki między wojskowymi, aby nikt nie śmiał pod żadnym pozorem, chodzić do kwater przeciwnéj strony. Miejsce zaś rozmowy obrał Zaremba w kwaterze swojéj, jako w mieście wygodniejsze, do którego zaprosił Branickiego z małym konwojem. Wojskom zaś kazano się z osobna rozłożyć wedle miasta po wsiach. Zaremba przyjął Branickiego w stancyi swojéj z wszelkiemi honorami, jakie należały hetmanowi od officera komputowego, którym był Zaremba. Pomówiwszy z sobą ci dwaj wodzowie cokolwiek po francuzku, resztę puścili na zwyczajną manierę; to jest zaczęli pić z sobą; a będąc obydwaj tęgich głów, próbowali się od południa aż do wieczora; tak iż Branickiego jako nieżywego wsadzono do powozu, a Zaremba chwiejąc się na nogach, ledwo zdołał gościa za próg odprowadzić.

Widząc takie spoufalenie się Zaremby z Branickim Wawrzyniec Potocki, pobożny katolik i żołnierz dobry, ale w rzeczach politycznych wielki prostaczek,(?) zaraz ruszając z pola do kwater, zawołał na swoich: »Mości Panowie: zdrada! kto kocha wiarę i wolność, proszę z sobą.« Odszedł tedy z obozu Zaremby, pociągnąwszy za sobą najwięcéj z konfederacyi łęczyckiéj i z innych do trzechset koni. Udał się ku Łęczycy, ale nieszczęśliwie! W kilka dni bowiem po odejściu od Zaremby, gdy dla ochłody koni i ludzi na pewnych łąkach nad rzeczką leżących roztaszował się, i konie porozkulbaczać kazał, a ludzie jedni kąpaniem, drudzy oprawianiem moderunków bawić się poczęli; Langa, major z Poznania, ciągnąć blizko tego miejsca, naprowadzony od przewodnika chłopa od konfederatów powracającego, ledwo nie wszystkich wybił: mało który uszedł, i tylko z tych, którzy kąpiąc się nago, łatwiéj na drugą stronę rzeczki i błota salwować się mogli. Sam Potocki, jak był nierozebrany i przy broni (to jest karabinku i szabli) tylko, że bez konia, broniąc się do upadłéj zginął. Langa, że był w spiesznym marszu, nie chcąc się zatrudniać niewolnikami, żywcem połapanymi, kazał wszystkich pozabijać. Taki był koniec ludzi poczciwych, ale nieroztropnych.

Zaremba z Branickim przez całe półtrzecia dnia tak się raczyli jak zaczęli. Trzeciego dnia popłókawszy likworami francuzkiemi wczorajsze lagry węgierskie, i po rannêm śniadaniu wyprzątnąwszy, jakto mówią *stante pede* kilka butelek wina, rozjechali się bez żadnego skutku roboty przedsięwziętéj. Zawieszenie jednak broni do zbiegu pięciu dni sobie na nowo przyrzekłszy.

Zaremba jakby przeczuwając blizką potrzebę, położył się w czas, w którym znużony Bachusem wielce się pokrzepił. Branicki zaś, zajechawszy między swoich, dolewał z nimi reszty, czego mu do spadnienia z nóg brakowało, ciesząc się, że mu Zaremba dosiaduje w miejscu, w którém go nie za długo, jako zwierza, miał otoczyć i złapać albo zabić.

Tego dnia od rana jedna chorągiew ułanów królewskich z dalekiego stanowiska spóźniona ciągnąc za drugiemi i nie wiedząc o zawieszeniu broni, naszła na dywizyą Sieradzką pod rotmistrzem Kazimierzem Grodzickim, szwagrem Zaremby. Uderzywszy na nią, rozbiła ją, w któréj to potyczce niespodziewanéj zginął Grodzicki, kulą w głowę ugodzony. Sieradzanie straciwszy swego rotmistrza, cofali się ku głównéj kwaterze Zaremby, ułani królewscy poznawszy błąd swój, od złapanych kilku konfederatów o rozejmie uwiadomieni, wstrzymali dalszą gonitwę, ciągnąc zwolna ku kwaterze swego wodza.

Tym czasem doszła do Zaremby wiadomość, że zginął rotmistrz Grodzicki, że ułani królewscy na Sieradzanów uderzyli. Porwał się z łóżka jak sparzony na tę wiadomość Zaremba, a podniósłszy w górę oczy i ręce, zawołał: »Boże, Ciebie biorę za świadka, jako nie ja łamię przyrzeczony słowem kawalerskiém parol.« Po tym krótkim pacierzu, długiego niezwyczajny, nie wchodząc w roztrząśnienie, jak się stało, kazał otrąbić do koni, i mniéj godziny czasu z pozbieganemi rotami wyszedł w pole. Co widząc partya Branickiego, także zaczęła się ruszać z kwater; lecz bez ordynansu wodza, nie wiedziała, w jaki ład miała się szykować. Branicki winem zmroczony, nie chciał dać wiary pierwszym doniesieniom, że Zaremba gotuje się do potyczki. Aż gdy jeden za drugim poczęli mu dawać znać, że Zaremba już rąbie, dopiero kazał sobie podać konia i przybiegł na plac bitwy wtenczas, gdy już uzarowie Zaremby pod przywodem rotmistrza Dembskiego, złamawszy dragonią litewską, wpędzili ją na ułanów królewskich; na których i na kawaleryą lekką generała Byszewskiego z drugiéj strony wpadł Mazowiecki, rejmentarz i Morawski, pułkownik; z trzeciéj zaś strony zagarnął ich sam Zaremba z Sieradzanami. Tak tedy ze trzech stron wziąwszy ludzi królewskich w obroty, wsiedli im na karki. Branicki latał nakoniec między swymi, chcąc ich do spra-

wy przywieść; lecz gdy przed natarczywością konfederatów żadnego porządku uczynić nie mógł, przyszło i jemu z pierzchającemi swemi hufcami na wyścigi uciekać, w któréj ucieczce o włos nie zginął, albo się w niewolą nie dostał, gdyby go była omyłka jedna nie salwowała. Towarzysz jeden konfederacki, zabiwszy ułana królewskiego, ubrawszy się w jego kurtkę i przesiadłszy na jego konia, tuż doganiał Branickiego z wyniesioną do cięcia szablą. Drugi towarzysz konfederacki nadbiegłszy, rozumiejąc go być ułanem uciekającym za Branickim, ciął go w rękę, i tym sposobem zatrzymał w pogoni; i gdy obydwa poznawszy się sfolgowali w pędzie dla obwinięcia ręki skaleczonéj, dali moment potrzebny Branickiemu do wyśliźnięcia się z ich rąk; który, doganiany od innych, nie mogąc już wprost uciekać, skręcił koniem na błota, a w tych zostawiwszy uwięzionego, sam pieszo przeprowadzony od chłopa, uszedł na drugą stronę. Toż samo szczęście spotkało i Jonikowskiego, pułkownika z partyi królewskiéj, który także napędzony na błota, straciwszy konia, pieszo za swoim wodzem brnął przez owe błota.

Legło na placu z królewskiéj strony 250, w niewolą dostało się 91 i jeden kapitan od gwardyi koronnéj litewskiéj, reszta poszła w rozsypkę; z strony konfederackiéj legło 56. Brańców wszystkich oddał Zaremba pod straż Morawskiemu, z rozkazem sekretnym, aby ich w marszu potrosze wypuszczał aż do ostatniego bez żadnéj krzywdy. — Dowiedziawszy się Zaremba od szpiegów i przyjaciół, iż z kilku stron Rossyanie ciągną, dorozumiał się, iż Branicki owych pięciu dni rozejmu nie na inny koniec chciał użyć, tylko aby Zarembę zewsząd otoczywszy, albo przymusić do podania się, albo znieść do szczętu. Dla tego nie czując się na siłach, komendy porozdzielał w różne strony, a sam z żoną i dziećmi udał się do Szląska pod Byczynę na dawną kryjówkę.

Rossyanie według ordynansu przyciągnąwszy pod Widawę, już nikogo nie zastali, tylko świeże znaki porażki Branickiego. Drewicz pułkownik, główny nieprzyjaciel Branickiego, skakał z radości na tę nowinę; dał tego dnia sutą wieczerzą swoim officerom i pił z nimi zdrowie Zaremby, wyśmiewając Branickiego.

Słówko o skażeniu języka i dobrego smaku pod panowaniem Wazów.

Talis hominibus fuit oratio, qualis vita.
Senec. Epist. 114.

Pisma są typem fizyognomii narodu. Jak naród myśli i działa, tak też pisze, taką też formę myślom swoim i językowi nadaje; co więcéj, psychiczną tę postać swoję wyciska nawet na samych tytułach i powierzchowności książek. Aby się przekonać o téj prawdzie, dosyć jest wniść do którejkolwiek z zamożniejszych w starożytne dzieła polskie biblioteki naszéj. Póki naród nasz zdrowo myślał, póki opilstwo, burzliwość i nieład do porządku dziennego nie należały, póki hydra nierządu hardéj głowy nie podniosła; póty nie mieliśmy owych dziwotworów literackich, owych panegiryków, któremi w późniejszych czasach kraj był zarzucony. Porządny układ, stósowne wysłowienie, odpowiadały prostym, właściwym tytułom dzieł; powierzchowność ich i przystrojenie, że tak powiem, typograficzne zachwycało oczy. Długosz, Miechowita, Kromer, Wapowski, Bielscy, Gornicki i t. d. pisali kroniki, dzieje w koronie; Skarga, Białobrzeski, Wujek i inni wyborni mówcy kościelni pisali kazania, postylle; Kochanowscy, Grochowski, Miaskowski, Szymonowicz i inni nazwali swoje nieporównane płody trenami, sielankami, wierszami, rytmami i t. d. Tak było w złotym wieku literatury polskiéj, albo raczéj w złotym wieku naukowego i moralnego usposobienia narodu. Ale gdy w początku 17go wieku niecny Zebrzydowski wstrząsł aż w samych węgłach monarchią i swawoli w kraju namnożył, gdy nauczyciele przyzwyczaili młodzież kadzić wojewodom, kasztelanom, a nawet niemal samym woźnym, gdy bezkrólewia następne skaziły charakter narodowy; fizyognomia takowa Polski odbiła się jakoby w zwierciedle w jéj pismach. Wir zepsutego smaku porywał i unosił nawet wyższe talenta. Birkowski, ów godny następca Skargi, kładł na swoich kazaniach wyszukane i niedorzeczne tytuły, np. Jozue za kolendę dany, kwiaty koron królewskich; Kochowski nazwał swoje niepospospolite dzieła niepróżnującem próżnowaniem, klimakterami i t. p. Cóż dopiero powiedzieć o owém niezliczonem mnóstwie pismaków z owéj epoki? Dziwne tytuły ich ramot odpowiadały zupełnie swojéj wewnętrznéj wartości, bibule, na któréj były drukowane, stępionym czcionkom i żołtawemu czernidłu, którem je wyciśnięto. Wszakże jeżeli gdzie skażony smak powinien był obrażać ucho i oburzać zdrowo, trzeźwo myślącego człowieka, to zaiste najbardziéj tam,

gdzie powinien był bydź najczystszym, prostym, bez żadnych wyszukanych, a co dopiero fałszywych ozdób, to jest, na ambonie. Kaznodzieje nasi przesadzali się w téj epoce nawzajem w niedorzecznościach. Śmieszne alluzye, błache dowcipkowania, lekkomyślne żarciki, opaczne pisma s. wykłady, bezczelne kadzenie dumie, sadzenie się na zaciemnienie myśli i przytaczanie zdań, Bóg wie nie jakich autorów, częstokroć, jak mówią, jak pięść do nosa przypiętych, oto były główne zalety mówców naszych kościelnych około 1630 roku począwszy. Moglibyśmy czytelnikom pisma naszego mnóstwo takich kazań zacytować, przestaniemy atoli na przytoczeniu wyjątków z jednego. Zabawią one czytelnika, byle się tylko myślą głębiéj nie zaciekał. Tytuł tego kazania jest takowy: »Przezacna Rawiczanka z niedźwiedzia tryumfująca,*) nieskurczone do pracowitości, hojności w wiernem oliwéj kościelnéj i jabłka ojczystego ręce trzymająca, rolniczną koroną przy włosach wiernego z Bogiem i z ojczyzną zaślubienia rozczosanych ozdobiona, w starożytnéj Ich MM. PP. Dembieńskich familii, osobliwie w życiu Jaśnie Przewielebnego Pana, Jego Mości X. Stanisława Dembieńskiego, Opata niegdy Bledzowskiego, w dzień pogrzebin jego Przez X. Łukasza Taszewskiego s. zakonu Cystercieńskiego kapłana theologa, spowiednika Panien zakonnych owińskich wyrażona. Roku Pańskiego 1641. dnia 5. Grudnia. W Poznaniu.« Taszewski tak swoje kazanie zaczyna: »Czy z trefunku, czy też z umysłu, proszę osądzcie Jaśnie Wielmożni, Jaśnie Wielebni, Wielmożni, Wielebni, szlachetni i nabożni audytorowie mói, dzieło jakieś wierać nie do proporcyi, na żałobnym Jaśnie i wysoce Wielebnego Pana Jego Mości Księdza Stanisława Dembieńskiego Opata niegdy Bledzowskiego, katafalku, złożone widzę. Na niedźwiedziu Panna? a to co? Zawołana i od wszech narodów approbowana z wielebnych ust płynąca sentencya: Trepidare virginum est et ad omnes viri (a daleko więcéj ursi) occursus pavere. Siedź Panno w kącie, nie ujrzą cię, nie uszarpną cię. Wstydź się Panno włóczenia swego, gdy Panien królowa (Marya) doma rezyduje. Nie wiem jak téj przymówki ujdziesz, nazwę cię tak: niedźwiedzia jeździco. Panną dorodną, a bodaj nie królewskiéj (znać to po koronie) familii bywszy, z klauzury twojéj wybiegasz? na srogiéj i dzikiéj bestyi się włóczysz? Pamiętaj na ową Dynę: jak sromotną hańbą w niepotrzebnym bieganiu okryta, uważaj. Ba i owę drugą, która się tam nie swego czasu po ulicach kołatała, sobie przypomnij, dobry świni raz od miejskiéj wachty (straży) oberwała. Custodes murorum (sama po harapie skwierczy) percusserunt me et vulnaverunt me, tulerunt pallium. (Cant. 5.) Otoż tobie włoczęgo spacer. Nie chodzić było z kuligiem po nocy, siedzieć było doma, tedyby cię to było nie potkało. A jeżelić się miła niedźwiedzia Soszorko (?) tak bardzo na przejażdżkę chciało, kazać było przystojnie w karocę poszóstną zaprządz, firankami się dla ochrony wstydu i wzroku panieńskiego zakryć. Nawet jeżeliś się chyżością amazońską w siedzeniu na bestyi pobucić chciała, zdobyć się było na osiełka, muła, parapę jakiego. Ale niedźwiedzia niesposobnego do jazdy osiadasz? Niechże cię jedno pazurem albo kłem pochwyci, prędko cię zmele, w paski rozszarpie.« Nałajawszy tym sposobem owéj Pannie do sytości takie jéj w usta słowa kładzie: »A zkądże wam to śmielstwo (broni się widzę ta Panna), że mię jak jednę łotrynią bezpiecznie i publicznie kapitułujecie? Eyżem po prząckę. (?) Albo to ja owa młodka, co na gębie mleko, a w rączcę krosienka nosi? Starać ja już i zgrzybiała baba, frasować się o mnie nie trzeba: jużci ja to całe 638 lat po saméj Polsce na tym niedźwiedziu, jeszcze za Bolesława Chrobrego między królmi koronnymi pierwszego jeżdżę; a nie przyganiał mi nikt o to, dopiero teraz sprawy moje cenzurują. Więc do publicznych aktów w domu publicznym się urodziwszy, mam w kącie siedzieć? Że zaś na niedźwiedziu, nie dziwujcie się. Dwie zawołane Monarchinie, którychem rada nie rada usłuchać musiała, Pani Natura i Pani Fortuna, na niego mię wsadziły, na nim też jeździć, a bez naruszenia przyjdzie.« Mówca przestawszy na téj odpowiedzi Panny, tak daléj prawi: »rażną, jako widzę, odsiecz ta Panna czyni, szkoda jéj wexować, tylko jéj zapytam: ktoś ty jest miłościwa Panno? Odpuść, żem zrazu nastąpił, niewiadomość różne kwestye wnosi, suspicye mnoży, teraz niech wiem coś zacz jest, proszę?« Tu dopiero Panna odpowiada, że jest Rawiczanką i familiantką P. Dębińskich, a kaznodzieja wysłuchawszy ją: »Siedzże tedy« — mówi — »na tym miedusiu, cna Panno, szczęśliwie i długowiecznie na nim ubadaj i t. d.« — Tak całe kazanie jest w tym samym tonie alluzyą do herbu Rawicz.

Ch.

*) Dla zrozumienia tych bredni wiedzieć należy, że herb Rawicz wyobraża Pannę na niedźwiedziu siedzącą.

Krytyka.

Poezye trzech braci, Waleryana, Klemensa, Juliana Grzymałowskich, Białorusinów. Petersburg 1837. Tomów 3. Tom I. Waleryana Zabawki poetyckie. Tom II. Klemensa Próbki poetyczne. Tom III. Juliana Preludia poetyczne.

Zwiedzeni pochwałą, której Tygodnik petersburski, pismo w swoim rodzaju bardzo dobre, poezyom, albo raczéj wierszom trzech P. Grzymałowskich, bynajmniéj nieszczędził, wzięliśmy je z ciekawością w rękę; lecz wyznać musimy szczerze, że oczekiwanie nasze nie było nigdy tak przykro zawiedzioném; i przekonaliśmy się zarazem, że nie zawsze spuszczać się można na sąd o płodach literackich umieszczany w gazetach politycznych, chociażby i najlepszych, zwłaszcza gdy redaktor nadesłaną sobie recenzyą na dobrą wiarę umieszcza, nie czytawszy, owszem nie widziawszy nawet dzieła.

Poezye trzech braci Grzymałowskich są to wiersze po większéj części erotyczne, nie należące ani do szkoły klasycznéj, ani też do romantycznéj. Nie idzie atoli bynajmniéj za tém, aby P. Grzymałowscy puścili się inną, właściwą wyższym talentom, drogą. Owszem chodzą oni po pasku pisarzy z wieku Stanisława Augusta, ale nie wyrównywają nawet miernym poetom z czasów tego monarchy; co gorsza, Panowie Grzymałowscy nie zapowiadają nawet poetów na przyszłość. W wierszach ich nie masz ani iskierki owego ognia świętego, który poetę ożywiać powinien, nie masz bynajmniéj wyższego uniesienia, imaginacyi i fantazyi; jestto proza; oschła, bez głębszych myśli proza, któréj końcówki dla rymu dodano. Są to lukubracye szkolne, które P. Grzymałowscy mogli jeszcze czas długi w tece więzić, mocno więzić (nonum prematur in annum), aby się na widok publiczny nie wydarły i złym przykładem nie zachęcały innéj młodzieży do wierszoklectwa, niestety, zbyt zagęszczonego. P. Klemens Grzymałowski napisał mnóstwo anakreontyków; ale w wymuszonych jego wierszach bez dowcipu i lekkości, owych jedynych okrasach tego rodzaju poezyi, nie widać najmniejszego powołania na wieszcza; mało co lepsze są płody jego braci. Moglibyśmy na usprawiedliwienie naszego o Poezyach Panów Grzymałowskich sądu przytoczyć wiele wierszy z ich dzieł, przecież niechcąc znudzić czytelników umieścimy tu tylko jeden anakreontyk pod tytułem Taniec, zaręczając, że wiele jest daleko gorszych, mało, bardzo mało lepszych.

Taniec.

Rzesko, rzesko chłopczęta,
Zatoczcie skoczne tany,
A z wami niech dziewczęta
Rej wodzą na przemiany.
Ja zaś tańczyć nie będę,
Bo się przyznać (sic!) ich boję:
Właśnie w tańcu ich pęta
Ujęły serce moje.
Nie bezpieczne to chwile,
Gdy z chłopcami dziewczęta
Uściskają się mile:
Bądź w walcu, bądź w kadrylu,
Bądź w innych tańcach tylu.

Poezye Seweryna Grozy. Wilno 1836. 2 Tomy.

Jedno z peryodycznych pism polskich zalecając publiczności Poezye S. Grozy, powiedziało, że młody poeta ten z wszystkich, którzy Mickiewicza naśladowali, najbardziéj się do wielkiego mistrza swego zbliżył. Ani słowa w tém prawdy, chyba to, że Mickiewicza niewolniczo nie tylko co do formy, ale nawet co do wyrażeń naśladował. Budowa zewnętrzna wiersza lepszą jest wprawdzie w dziele Grozy, niż w pismach Grzymałowskich, więcéj w niém jest nawet poezyi, ale nie masz rzeczy; jestto tylko dźwięk, ale dźwięk tego rodzaju, że nie nagradza braku myśli i fantazyi; nie jestto, że tak powiemy, urok, muzyka poezyi, która głaszcząc ucho czytelnika i odurzając go niejako swoją niebieską melodyą, nie dozwala szukać rzeczy: takiemi są niektóre poezye Bohdana Zaleskiego i Juliana Słowackiego.

Przegląd czasopismów.

Niezapominajki, Noworocznik na rok 1838. przez Karola Korwella, z pięciu rycinami. Cena 4 Tal. Powierzchowność tego Noworocznika dość ozdobna, choć nie tak świetna jak Lipskiéj Meliteli Odyńca. Ryciny równie piękne, jeżeli nie pięknicjsze, bo także zagraniczne. Cena stósunkowo do obcych zbyt wysoka, ale też artykuły mody zwykle drożéj się płacą, a wielki świat nie pyta się o cenę, byle powabny towar zwierzchnią nęcił pozłotą. Co się tyczy wewnętrznéj wartości, téj noworocznikowi temu odmówić nie można; więcéj atoli w prozie, aniżeli w poezyi godzien pochwały. Gawędy Wojcickiego, jak w innych podobnych dziełkach, tak i tu szczególniéj się podobają i są prawdziwą okrasą warszawskich nowoczesnych płodów. Następujące znajdują się w Niezapominajkach artykuły:

Chłopcy, stara gawęda z XVII. wieku p. Wojcickiego.
Wynalazek Muzyki, przez Paulinę K.
Stado Gołębi, stara gawęda z roku 1760. Wojcickiego.
Kobieta i Mężczyzna, powieść.
Julia, przez Paulinę K.
Przygoda Kopernika, powieść p. Korwella przerobiona z pism Sternberga.
Opuszczona, p. Wandę Malecką.
Wierszy mnóstwo przez A. T. Szabrańskiego, Nowosielskiego i wielu innych teraźniejszych warszawskich poetów.

Rozmaitości.

*** Zkąd pochodzi wyraz Calembourg? Na dworze króla Stanisława, księcia Lotaryńskiego, żył szlachcic niemiecki, nazwiskiem Calemburg, który tak szkaradnie po francuzku wymawiał, że ztąd powstawały często najśmieszniejsze dwuznaczności i przekręcanie sensu. Księżna Boufflers miała w tém szczególniejsze upodobanie, powtarzać owo śmieszne słów przekręcanie niezręcznego Calemburga i tém dwór francuzki bawiła. Ponieważ takie dowcipkowanie podobało się królowi, zaczęto je naśladować i umyślnie wyszukiwać dwuznaczności w słowach. Marszałek Bièvre tyle ich nazbierał, że drukiem ogłoszone zostały. Odtąd słowo Calemburg zyskało indygenat w języku francuzkim i znaczy pewne wyrażenie, mające dwojakie dowcipne znaczenie, za pomocą różnego wymawiania lub lekkich zmian rozróżniać się dające. Lubo język polski nie jest tak szczęśliwy jak francuzki w téj słów igraszce, to przecie i u nas A. Ziołkowski nie mało kalemburów nazbierał, n. p.: Są-dy-nie do sprzedania. Przysięgam., ja-ko-nie będę brał. Dla niektórych zły a-na-nas dobry. Żona-ty-je dobrze. Ma-sło-ma pokup. Ni-wy brzydkie, ni-wy piękne. Ma-z-gajów bardzo wiele. Kare-te pan daruje. Ratujcie go bo-ginie; to-nie człowiek. Usta-wami rządzą. Czy li-twa kochana będzie z nami. Wiele jest koło-dziejów pracujących.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 4 Talary rocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*